

Napisał: Rafał A. Ziemkiewicz

Ilustrował: Przemysław Woźniak



„Myślisz pewnie, że kiedy ostrze żyłki zagłębia się w nadgarstku, tnąc skórę, ścięgną i naczynia krwionośne musi to być bardzo bolesne. Ale to nie boli. Szczypie trochę, jak rana polana spirytusem. Spod ostrza spływają strumienie krwi. Są ciepłe, z początku bardzo silne. Potem zaczynają słabnąć. Drętwieją czubki palców, dłonie, robi się słabo, przed oczami wirują kolorowe plamy. Powiedz sama, czy jest coś straszniejszego w zasypianiu?

Nie udało się. Ocknąłem się już w szpitalu. W ich szpitalu. Jeżeli naprawdę jest piekło, to właśnie tu. Nie ma ludzi, tylko umundurowane numery. Gotowi zabić własne matki, gdyby dostali taki rozkaz. Przez pierwsze dni wyłem po nocach, rzucałem meblami w kraty na oknach. Nawet mnie nie uspokajali. Teraz brak mi sił, żeby głośno mówić. Bez przerwy ładują mnie jakimiś zastrzykami, prochami, na wszystkich ścianach telewizory, których nie da się wyłączyć. Z moim mózgiem dzieje się coś niedobrego, to przez to. Na razie zbyt dobrze mnie pilnują, ale zrobię to, jak tylko będzie okazja. Tak jak się umawialiśmy. Szkoda, że tylko tak możemy być ze sobą.

Ten list przesyłam przez jednego faceta z obsługi, mówi, że może to załatwić. Nie wiem, czy jeszcze będę mógł napisać. Trzymaj się. Kocham cię –

Aylen”.

Stał przez chwilę ze stężałą twarzą. Powoli opuścił zatopioną w plastiku kartkę i podniósł wzrok.

– To przecież wy napisaliście. Prawda, kapitanie?

Znajdował się na środku wielkiej sali, przeznaczonej na posiedzenia sztabu. Na wprost, za nakrytym sukniem stołem – trzech oficerów.

– Tak, ja to pisałem. Dwadzieścia lat temu. Niecały tydzień po moim wstąpieniu do Służby.

Major Scorb popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

– Czy to ma być usprawiedliwienie, kapitanie?

Żaden nie patrzył mu w oczy. Cisza, wielka sala i tych trzech przeglądających z zainteresowaniem jakieś papiery. Dwóch z nich uważał dotąd za swoich przyjaciół i pił z nimi co wieczór. Co innego można robić na planecie już podbitej, ale przed rozpoczęciem kolonizacji.

– O co chodzi, do cholery?! Zrobiłem coś złe? Mój sektor jest wyczyszczony do nogi, wszystko....

– Proszę się nie zapominać, kapitanie! – przerwał mu ostro Scorb – Stoicie przed komisją dyscyplinarną! Ten oszczerczy list, który napisaliście kwalifikuje was do degradacji, do kompanii karnej!

Aylen opuścił ręce. Ze Scorbem nie łączyło go nic, oprócz stosunków służbowych, ale dotąd uważał go za porządnego człowieka. Rons i Hortes milczeli.

– Ten list napisał siedemnastoletni rekrut, który w ogóle nie wiedział jak wygląda praca w kosmosie i bał się jej – powiedział, już spokojnie. – Nie wiem, jak to wyciągnęliście po tylu latach, ale czuję w tym zwykłe...

– Co?

– Chyba na każdego można by coś takiego znaleźć.

– Sądzę, że to wystarczy. Jesteście tymczasowo aresztowani. Proszę oddać broń.

Bez słowa położył na stole pas z kaburą. Wytarł twarz z potu. Udało mu się uchwycić na chwilę spojrzenie Hortesa, ale ten uciekł wzrokiem w bok, ku zajmującej całą ścianę mapie Vetylii. Świetlisty kwadracik w Kotlinie Mgieł oznaczał baon Aylena.

– Wyprowadzić.

Dwóch żandarmów powiodło go do windy i zwiozło na dolne poziomy. Gdy zamknęli za nim drzwi celi, Aylen podniósł do ust prawą rękę, wciskając czar-

ny kwadracik na bransolecie. Na ekraniku ukazała się twarz jego zastępcy.

– Stan pogotowia. Zbierz jednostkę i obsadz stanowiska wokół centrum dowodzenia. Jeśli do rana nie dam ci innych poleceń...

– Panie kapitanie – przerwał mu Maxter – Otrzymałem rozkaz stawiający mnie na stanowisku dowódcy baonu. Zgodnie z tym rozkazem, pan został przeniesiony do sztabu. Czyżby coś...

– Nie, nie, wszystko w porządku. Zapomnijcie o tym, co teraz mówiłem.

Usiadł ciężko na koi, potem wyciągnął się na niej, podkładając ręce pod głowę. Patrzył tępo w przeciętą pionową rysą ścianę. Za wpasowaną w nią pancerną szybą widać było nabrzmiałe, sine niebo. Starczyło spędzić na Vetylii miesiąc, żeby bać się takiego nieba do końca życia. XIV Korpus Służby Kosmicznej siedział tu już pół roku.

Aylen przymknął oczy. W mózgu waliły mu dwa miotacze ognia. Niemal czuł swąd kurczących się z trzaskiem tkanek. Nic nie rozumiał i był zmęczony, potwornie zmęczony.

Służba Kosmiczna musi być, mówił sobie, odkąd sam się tam znalazł. Ktoś przecież musi odwalać brudną robotę. Skoro ludzi stać było na zafundowanie sobie luksusu długowieczności, to ktoś musiał im znajdować miejsca do kolonizacji. Że przeważnie te miejsca były już zajęte... cóż.

Przewrócił się na bok. List. Nie domyślał się jeszcze, dlaczego jest aresztowany. Przecież nie przez ten świstek. Dawno już zapomniał, że kiedyś coś takiego napisał. Teraz, gdy przeczytał go znowu, zaczęło go to boleć. Przypomnił mu, że nie zawsze był zdobywcą kosmosu. Mało kto lubi, gdy mu się przypomina przeszłość; w Służbie jest to temat tabu.

Był jeszcze zbyt zdenerwowany, żeby zasnąć. Leżał na wyrku, przyglądając się pękniętemu tynkowi. Z początku długo nie chcieli go przyjąć do linii,

zrost w nadgarstku usztywniał mu minimalnie lewą dłoń. Ponad dziesięć lat przekiblował w grupach szkoleniowych. Vetylia była jego drugą planetą, właściwie pierwszą, bo na Aldii, gdzie wysłali go, gdy przeszedł wreszcie testy, nie było istot rozumnych. Cała robota sprowadzała się do nudnych spraw związanych z budową kolonii i jej ochroną przez kilka pierwszych lat. Na Vetylii miał się sprawdzić jako oficer liniowy. Łądował w jednym z czterech pierwszych statków, był na pierwszej linii. Wykonał wszystkie rozkazy, nawet te, których nie podjął się nikt inny.

Przeciągnął się i ściągnął z półki neurotransmiter. Zastanawiał się chwilę, czy nie zażyczyć sobie jakiegoś miłego snu... Nie, nie lubił miłych snów, to znaczy nie lubił budzenia się po miłych snach. Niech się dzieje, co chce. Założył obręcz na głowę i ułożył się wygodnie.

Dżungla płonie. Krzyk, tupot przebiegających drużyn. Aylen wyskakuje z helikoptera, za nim kilku innych. Idzie przez polanę mocnym krokiem, bębniąc trzcinką po cholewach butów. Porucznik kierujący akcją stoi na jakimś kamieniu, bez hełmu, krzyczy, wymachuje rękami. Potworny krzyk. Wpychają ich po dwustu w gardziel wawozu i tną seriami z miotaczy. Lufy rozgrzane do czerwoności. Następną porcja.

Nie ma wawozu, nie ma porucznika. Aylen stoi po pół uda w stosie trupów. Zaczynają się poruszać. Chwytają go za ręce, za kurtkę, wpełzają na niego, oderwane ręce, głowy, poprzecinane kadłuby. Teraz on krzyczy. Trup Vetyliańczyka zagłada mu w oczy, jego twarz pęcznieje, zmienia się jak ciasto. Blond włosy, karminowe usta, ostre, chłodne spojrzenie. Anna...

Zerwał się z krzykiem, zrywając z głowy neurotransmiter. Usiadł, ukrywając twarz w dłoniach. Sen... Sięgnął do stolika po szklanę, woda była zimna i miała przyjemny smak. Otarł czoło.



Cienki pasek metalu po wewnętrznej stronie obręczy stykał się po jej założeniu z płytkami wszczepionymi w skórę głowy. W statku kosmicznym albo czołgu podobna obręcz umożliwiała sterowanie. Tu neurotransmiter miał za zadanie jedynie wzbudzić odpowiedni rytm pracy mózgu, aby sen dawał odpoczynek i odpowiednie marzenia senne. Zgodne z tym, co zaprogramowano. Odłożył obręcz i zaczął nerwowo krążyć po celi. Złapał się na tym, że cały czas myśli o tej dziewczynie, która nagle zjawiała się w jego życiu jak widmo. Po wstąpieniu do Służby widział ją tylko raz, przyjechała go odwiedzić, gdy skończył półroczne przeszkolenie. Teraz przypominał sobie jej oczy, usta, głos: „Boże, co oni z tobą zrobili... Ayle, jak oni to z tobą zrobili”. Uderzył mocno pięścią, jeszcze raz, i znowu, dopóki ból rozkrwawionych kostek nie stał się silniejszy od wypełniającej go wściekłości. Ręce mu drżały. Dziwne, pomyślał. Zawsze umiał nad sobą panować. Sięgnął po szklanke.

Woda! Znał ten smak. Destabilizatory, środki powodujące rozstrój nerwowy, histerie i stany lękowe. Po dłuższym czasie zamieniają człowieka w kompletnego wariata.

Obrócił szklanke dnem do góry. Bał się. Pierwszy raz od tamtego czasu. Ile wytrzyma bez picia? I bez jedzenia? Od biedy destabilizatory można rozpylić w powietrzu.

Wyrwał ze ściany kable neurotransmitera. Usiadł skulony na koi opierając głowę na kolanach i siedział tak do rana odpędzając natrętne myśli.

Drzwi zazgrzytały jak wieko trumny. Aylen poderwał się na równe nogi, chciał podbiec ku drzwiom. Zmusił się, żeby usiąść. Do celi wszedł Scorb. Usiadł na stole przed Aylenem i dał znak żeby zamknąć drzwi.

– Słuchaj, Aylen – powiedział po dłuższym milczeniu. – Znaleźliśmy się wszyscy w ciężkiej sytuacji. Chcę ci pomóc.

– Dlaczego zostałem aresztowany, panie majorze?

Scorb machnął ręką, jakby ze zniecierpliwieniem – Daruj sobie, rozmawiam teraz z tobą zupełnie prywatnie. Dlaczego, pytasz... To nie był mój pomysł. Uważam cię za dobrego oficera, który zrozumiałby sytuację. Dlatego właśnie przychodzę.

– Dlaczego...

– Słuchaj! Za tydzień, góra dwa, będziemy mieli na głowie komisję ze Sztabu Generalnego. Ktoś doniósł o tej sprawie w Kotlinie Mgieł.

– Wykonywałem pański rozkaz.

– Jeżeli im to powiesz, poleci dowództwo korpusu. Zresztą chyba właśnie o to chodziło temu, który doniósł.

– Taka jest prawda.

– Prawda jest taka, że zrobiłeś to sam, na własną rękę. Jesteś po prostu chory psychicznie. Są świadkowie, którzy już dawno zauważyli u ciebie pierwsze objawy. Zresztą komisja sama będzie się mogła przekonać o twoim stanie.

– Jestem zdrowy!

– Dlaczego krzyczysz? – Scorb popatrzył na mokrą plamę na podłodze i potłuczoną szklanke. – Nie chce ci się pić?

– Dobrze to wszystko wymyśliłeś. Ale ja nie dam z siebie zrobić wariata.

– Aylen, nie bądź dzieckiem. Co ty tutaj masz do dawania? Przecież pracowałeś w grupach szkoleniowych, przeglądałem twoje akta. Przysyłali ci takich gniewnych jak ty sam, kiedy pisałeś ten nieszczęsny list, a odsyłałeś karnych, zdyscyplinowanych kądrowców. Do diabła, można z ciebie zrobić popisowego paranoika w ciągu kilku dni. Są jeszcze lepsze rzeczy, destabilizatory to tylko przygrywka. No, przecież znasz się na tym.

Scorb zapalił papierosa.

– I powtarzam: To nie był mój pomysł. Przecież nie musimy robić z ciebie wariata. Dogadajmy się, Aylen. Zagraj to. Weź winę na siebie i udawaj wariata, a ja ci załatwię, że pójdziesz tylko na kilka miesięcy na obserwację. A potem normalnie wrócisz do linii, nawet na

wyższą funkcję. Nawet jako dowódca dywizji.

– Nie, nie – Aylen oparł głowę na rękę – Nie wierzę ci. Gdybyś wziął to na siebie, zabraliby mnie. A ty byś palcem nie ruszył. Cieszyłbyś się, że sam jesteś cały – wyrzucał z siebie po kilka słów, czuł, że inaczej zacznie mu się załamywać głos. – Idź do diabła, słyszysz! Spadaj! To był twój rozkaz, twój pomysł! Sam mówiłeś: „Nie przejmuj się, przecież to nie ludzie”, pamiętasz?!

– Spokojnie! Spokojnie, Aylen – poklepał go po ramieniu – Skup się i postaraj posłuchać, dopóki jeszcze można z tobą rozmawiać. Wyobraź sobie: jesteś dowódcą korpusu. I dostajesz rozkaz..., nie, nie rozkaz, ktoś z góry sugeruje ci, że na Vetylii musi się zrobić luźniej, i, jeżeli tego nie zrobisz, to przyjdzie ktoś młodszy, bardziej zdecydowany, a tobie dadzą kopa i odeślą w diabły. Rozumiesz? Mnie tu dobrze i nie dam się wygryźć.

Scorb puścił Aylena i podszedł do drzwi.

– Zastanów się. Póki możesz.

Aylen opadł ciężko na kolę. Chciał coś jeszcze krzyknąć, ale zabolowało go spieczone gardło. Głód ścisnął w żołądku. Do tego ból głowy, spuchnięte powieki. Niedługo zacznie mu się łać z nosa. Przy dużej dawce skutki uboczne mogą człowieka doprowadzić do szału. Miał ochotę rozpędzić się i rozbić sobie łeb o ścianę. Spokojnie, tylko spokojnie, szeptał do siebie wciskając twarz w poduszkę. Pamiętał, że kiedyś, w grupach szkoleniowych mieli takiego faceta, którego nie mogli rozłupać przez dobre dwa tygodnie. Cały czas siedział nieruchomo i wpatrywał się w jakiś punkt w ścianie. Tak, ale on był narkomanem, stąd to jego odrętwienie. Aylen przewrócił się na plecy i zaczął wpatrywać się w jakiś zaciek na suficie. Nie myśleć o niczym. Nie poruszać się. W końcu westchnął ze zrezygnowaniem, wstając. Nie potrafił.

– „Nie pij. Aylene, proszę cię. Nie pij już
– Anna delikatnie wzięła go za rękę.
– Dlaczego? Wcześniej mnie szlag trafił
– powiedział. Odstawił jednak kieliszek.
Ściśnięty przelyk nie chciał już przyjmować alkoholu.

– Boże, Ann, dlaczego ja? Co za parszywe życie. Tyle planów, marzeń, a tu nagle pieprzony komputer wybiera akurat ciebie i przysyła wezwanie. I koniec!
– Oparł się o ścianę – Ann, czy ja się naprawdę nadaję do kosmosu? Ja nie chcę!

– Uspokój się...
– Uspokój się! Wszyscy mówią, „uspokój się, tylu ludzi tam idzie i sobie chwiałą, przekonasz się.” A może komputer się czasem myli? Pamiętasz tego degenerata od Grassa? Sam się zgłosił i go nie wzięli...

Wstała w milczeniu i podeszła do okna.

– On się nie myli, Aylene. To smutne, ale on się chyba nigdy nie myli.

– Nawet ty w to wszystko wierzysz... Ann, nie myślę zmarnować życia na jakichś zakichanych planetkach, które mają dość tlenu, żeby zbudować tam miasta. Nie myślę być mordercą. Nie stawię się tam.

– Przyjdą po ciebie.

– Jutro zrobię pożegnalny bal. Nikt nie wyjdzie trzeźwy. A potem się...

– Aylene! Nie mów o tym, proszę...”

Otrząsnął się, chlapiąc sobie zimną wodę na twarz. Nie wytrzymał. Nosiło go po celi, potem rzucał się na koc, związał się w kłębek, gryzł przeguby dłoni, zrywał się, znowu krążył po celi. Czuł jak wariuje, jak cofa się do poziomu siedemnastolatka.

Sięgnął po odłożoną na stół bransoletę, z trudem otwierając oczy. Trzeci dzień. Przez te przekłęté majaki stracił zupełnie poczucie czasu. Nadal nie jadł i nie pił, ale to nie wystarczało. Jeszcze jeden, dwa dni i przyzna się do wszystkiego, o co go spytają. Zacisnął zęby. Ta

wściekłość też była spowodowana destabilizatorami.

Zgrzyt drzwi. Obrócił się na łóżku. Do celi wszedł Rons. Pochylił się nad nim.

– Aylene? Trzymasz się jeszcze? Aylene?!

Chciał krzyknąć, żeby się wynosił, ale z gardła wydobył mu się tylko charkot. Podniósł się. Oddech miał przyśpieszony i nierówny.

– Czego chcesz?

– Aylene – Rons uśmiechnął się – Dzięki Bogu. Nie mogłem przyjść wcześniej, ale miałem nadzieję, że się poznasz na tym świństwie, którym cię karmią. Słuchaj, był u ciebie Scorb?

– Był.

– Namawiał cię, żebyś wziął Kotlinę Mgiel na siebie?

– Namawiał. Czego chcesz?

– Nie rób tego. Scorb dlatego ci to proponował, że nawet gdyby cię zupełnie rozłupał nie będzie mógł dowieść swojej niewinności. Nie uwierzą mu, wyciągną cię. Parę dni i nawet nie będziesz pamiętał.

– Odpieprz się, poradzę sobie.

– Chcę ci pomóc, Aylene.

– Scorb też tu przyszedł mi pomagać. Siedziałeś tam, jak mi dawał ten list?! Nie mogłeś mi wtedy pomóc?!

– Aylene, nie bądź dzieckiem, jak ci miałem pomóc? Są różne układy, nic się nie da poradzić. I nie wrzeszcz, na litość boską, lepiej żeby Scorb nie wiedział, że tu byłem. Aylene! Wytrzymaj, słyszysz, wytrzymaj. Scorb już się kończy. To ja wysłałem depezę o masakrze. Będę tu jutro pod wieczór. Degradacja Scorba jest już dawno gotowa, to tylko formalność. A za to, co robi z tobą dostanie sąd polowy. Nigdy nie miałeś dość tego cymbała? Co? Aylene, przecież ty masz największy staż. Swobodnie zajmiesz jego miejsce.

Aylene obrócił się do ściany.

– Nie wierzysz mi? Nie jesteście kumple?

– Jesteśmy.

– No, więc uwierz mi. Wytrzymaj.



– Źle ze mną, Rons. W głowie mi się chrzani. Jeszcze dzień i zupełnie nie będę wiedział, co się ze mną dzieje. Cały czas mam majaki, rozmawiam z ludźmi, których nie widziałem od lat, diabli wiedzą, czy w ogóle jeszcze żyją. Może ty jesteś majakiem?

Rons wyciągnął z kieszeni fiolkę z żółtymi pastylkami. Podrzucił ją w rękę i weisnął Aylenowi.

– Masz, to antidotum.

– Nie znam tego.

– Nowy środek przeciwdziałający destabilizatorom. Muszę już lecieć. Trzymaj się.

Podniósł się i zapukał trzykrotnie w drzwi. Zgrzyt.

Wierzyć mu. Nie wierzyć. Wierzyć... – zastanawiał się Aylen chodząc po celi. Znow to przekłete chodzenie po celi. „Jesteśmy kumple”. Może. Zresztą czy jest inne wyjście? Połknął tabletkę, popijając wodą i sięgnął do podajnika żywności.

Czuł się lepiej. Siedział z nogami założonymi na stół i patrzył w okno. Nie wywoływało teraz u niego przestrachu.

Anna też przestała mu się przypominać. Właściwie nawet trochę tego żałował. Tylko te kroki, rozbrzmiewające bez przerwy po celi. Szybkie, drobne kroki kobiety na wysokich obcasach. Pewnie jakiś kolejny skutek uboczny.

Przeciagnął dłonią po guzikach bluzy. Jeżeli Rons mówił prawdę, to statek ze Sztabu Generalnego właśnie szykuje się do lądowania. Może już wylądował. Pewnie Scorb i cała ta banda czekają przy płycie pola wzlotów. Aylen niemalże widział jak komisja idzie obetonowanymi korytarzami, zjeżdża windą, jak każe wartownikom otworzyć drzwi celi. Może właśnie do nich podchodzą? Nie stychać było niczego, tylko te kroki. Coraz szybsze. Kroki Anny. Drzwi zaraz się otworzą, Aylen wyjdzie uśmiechnięty, z rękami w kieszeniach. Zamelduje się i poprosi by zezwolono mu na odejście do swojej kwatery. Zanim zaczniesz zeznawać musi się najpierw wyspać, porządnie wyspać.

Kroki stały się szybsze. Zastanawiał się od dłuższego czasu nad całą tą bezsensowną sytuacją. Na pewno przecież nikt w sztabie nie przejął się losem ja-

kichś tam zielonych kurdupli na etapie iglicowej broni palnej. Jeśli jednak z powodu tego złamania przepisów przysłali komisję, to musiała się w tym kryć jakaś ostra rozgrywka między sztabowcami, w którą Aylene został zupełnie przypadkiem wplątany. Scorb musiał być czymś człowiekiem, bo przecież komu zależałoby na usunięciu dowódcy jakiejś nieciekawej planетки, gdyby nie był czyjąś podporą albo czyjś ramieniem. Zresztą załatwili go ładnie – nie robi masakry, wyleci za nieefektywność działań. Robi, przysła komisję. Jaka była w tym rola Ronsa? Mógł nakręcić całą tę sprawę, ale nie, on był na to za mały. Wyśługiwał się komuś, po prostu. Bywał często w Centrali, jako zaufany Scorba. Jaki ten świat jest skomplikowany. Ciekawe, czy w cywilu też jest takie bagno.

Bagno. Morderca. Nieużywane od dwudziestu lat słowa, które nagle wróciły do niego razem z Anną i z tym listem. Przecież zawsze był tak opanowany.

Znów zaczął krążyć po celi, ogarnięty falą zdenerwowania. A jeśli nie jest tak, jeśli chodzi o coś innego, albo może Scorbowi jakąś metodą uda się wygrać? Zażył jeszcze jedną z tabletek Ronsa. Już niedługo. Musi wytrzymać. Ciągłe te kroki, teraz stały się tak szybkie, że zlały się w jeden, przeciągły dźwięk o wibrującym pogłosie. To był odgłos miotacza, nie, kilku, może nawet kilkunastu miotaczy. Strach. Odwrócił się. Na łóżku trup Vetyliańczyka z obciętą głową. Zaciśnął powieki. Doskonale sobie zdawał sprawę, że to halucynacje, ale trząsał się cały, przerażenie ścisnęło gardło. Oślizłe, zimne dłonie zaczęły głaskać go po twarzy. I jednocześnie cichy głos Anny: „Morderca”...

Nie wytrzymał. Krzyczał, odpychając chwytające go dłonie, w głębi ducha usiłując jeszcze zachować świadomość swego obłądu. Bił się z obłączającymi go trupami, kopał, bił pięścią w ciastowate

twarz, które stawały się twarzami Anny. Resztki rozsądku zagłuszył w nim dziki strach i gorycz. I ten głos... W końcu upadł na podłogę, przygnieciony ciałami wrogów. Brakowało mu oddechu...

Zgrzyt. Drzwi!! Przyszli! Przyszli i zastali go wyjącego i tarzającego się po podłodze, jak kompletnego wariata. Zerwał się i wyprężył. Stał z zaciśniętymi powiekami, drżący, czekając aż ktoś się odezwie, albo go dotknie, wyprowadzi z celi pełnej Vetyliańczyków. Dopiero, gdy przez dłuższy czas nic się nie działo, ostrożnie otworzył oczy. Otwarte na oścież drzwi. Poza Vetyliańczykami w celi nie było nikogo. Nawet wartownicy gdzieś zniknęli. Ostrożnie, powoli posuwając stopy wyszedł na pusty korytarz. Na jego środku ustawił krzesło. Nad nim, zwisając z kratownicy wentylatora zwisała gruba pętla.

Zaczął się śmiać. A więc o to chodziło. Rons był młodszy stażem od Aylenea. Gdyby nie to, mógłby zająć miejsce po Scorbie. A więc ten atak jest wynikiem zażywania pigulek, które mu dał. Upadł na podłogę płacząc, wijąc się i gryząc ręce. Nie da się!

Wtedy usłyszał syk windy i kroki, kroki wielu osób idących korytarzem. To oni. To muszą być oni. Wygrał. Przeżyje. Naszprycuje się pigułkami uspokajającymi, środkami antystresowymi, zastrzykami wzmacniającymi nerwy. Przypnie nowe odznaki do munduru. Będzie mógł spać spokojnie i dalej służyć ludzkości, czyszcząc dla niej miejsca pod założenie kolonii. Twarz wykrzywił mu szyderczy uśmiech. Szybko, jak najszybciej, żeby nie zmienić raz powziętego zamiaru wgramolił się na krzesło. Zza zakrętu korytarza wyłoniły się sylwetki, Scorb, Hortes i trzech wyższych oficerów. Twarz jednego z nich, jak w błysku flesza – zdziwienie, gest ręką... Założył pętlę na szyję i z całej siły kopnął krzesło tak, żeby nagle i silnie opaść w dół, żeby pękły kręgi szyi i żeby nie dało się go już odratować...